

MIECZYSLAW PATER

Prawda historyczna pod pręgierzem

Żyjemy w czasach przeróżnych nonsensów. Kiedyś mówiono o nich, że są niemożliwe, lub prawie niemożliwe. Dzisiaj wszystko, co najbardziej niedorzeczne, staje się rzeczywistością, dodajmy – groźną, niebezpieczną rzeczywistością w makro i mikroskali, w wymiarze porządku społecznego, politycznego, międzynarodowego i moralnego. Znamienną cechą tych zjawisk jest antypolskość szalejąca na różnych płaszczyznach w kraju, w Europie, na świecie i przybierająca przeróżne postacie agresji, terroru, kłamstwa, połączonego z cynizmem. Celem tych działań i praktyk jest zniszczenie narodu polskiego w dosłownym znaczeniu tego słowa. Kiedyś próbowano to osiągnąć przez wynarodowienie Polaków, w czasie II wojny światowej przez wymordowanie, dziś – poprzez brutalne niszczenie wszelkich podstaw naszej egzystencji narodowej – gospodarczych, społecznych, moralnych, poprzez ośmieszanie naszej kultury i dziedzictwa narodowego oraz deptanie naszej godności narodowej. Szczególnym przejawem tej swoistej wojny wypowiedzianej narodowi polskiemu, jest bezwzględna walka z polskim katolicyzmem, który nierozzerwalnie splótł się z polskością we wszystkich jej wymiarach.

W tej szczególnej sytuacji przeróżne środowiska w kraju postanowiły gniewać się na Polskę szukając powodów, aby ten gniew umotywować, sięgając po „argumenty” historyczne. Zadanie ułatwia im modny dziś w niektórych środowiskach historyków prymitywny relatywizm polegający na przedstawianiu dziejów według dowolnych życzeń i pomysłów, przy całkowitym lekceważeniu prawdy. Bez skrupułów przyjmuje się założenie, że jeśli prawda pozostaje w niezgodzie z przyjętymi pomysłami, tym gorzej dla prawdy. Tego rodzaju praktykom towarzyszy swoisty terror, gwałt zadawany prawdzie o przeszłości.

Przykładem takiego bezceremonialnego traktowania dziejów jest wydana w Zabrzu w 2003 r. książka Dariusza Jerczyńskiego *Dzieje narodu śląskiego*, w podtytule: *Prawdziwe dzieje ziem śląskich od średniowiecza do progu trzeciego tysiąclecia* (Narodowa Oficyna Śląska, Górny Śląsk 2003). Autor wywodzi się ze środowiska „śląskiego ruchu separatystycznego”, z „Ruchu Autonomii Śląska”. Trafną jego charakterystykę przedstawili: Krzysztof Kawalec w artykule „Rewizjonizm historyczny w internetowej propagandzie ruchu separatystycznego” oraz Wojciech Wrzesiński w rozprawie *Argument historyczny w propagandzie ruchu au-*

tonomii Śląska (obydwie wypowiedzi w: „Śląski Kwartalnik Historyczny Sobótka” nr 3[2004], s. 483–496). Choć autorzy ci nie omawiają książki Jerczyńskiego, jest niewątpliwe, że wyraża ona poglądy i ambicje środowiska skupionego w Ruchu.

Z całym przekonaniem, sine ira et studio, można stwierdzić, że książka ta jest po prostu bublek wydawniczym i historiograficznym. Żadna szanująca się oficyna nie podjęłaby się jej druku, aby się nie skompromitować. Ponieważ jednak stała się faktem publicznym i głosi piorunujące tezy, odniesienie się do niej jest konieczne tym bardziej, że książka wpisuje się w nurt praktykowanego dziś coraz powszechniej terroru, rzec by można – piśmienniczego, niezależnie od tego, czy autor ma tego świadomość czy nie.

Dyskusja, polemika z autorem jest całkowicie niecelowa. Zawile formułowane poglądy w tonie napastliwym i agresywnym wykluczają taką możliwość. Trzeba się jednak przypatrzeć sposobom swoistego rozbójnictwa historycznego praktykowanego na kartach tej książki z całą determinacją, *cum ira et studio*.

Po zaznajomieniu się z książką trudno oprzeć się przekonaniu, że niezależnie od deklarowanych założeń i celów, autor dał pełen ekspresji wyraz swojej nienawiści do Polski, Polaków, narodu polskiego, kultury polskiej, do wszystkiego co polskie. Odnosi się wrażenie, że dla niego byłoby najlepiej, wręcz idealnie, gdyby Polaków i narodu polskiego w ogóle nie było. Przy takim nastawieniu trudno się dziwić kłamstwom, cynizmowi, agresji, a przy tym najczęściej zawiłym wywodom, niejasnym, często sprzecznym, a nawet niedorzecznym. Więcej nawet, autor prawdziwie po kapralsku traktuje historię, gniewając się na nią, że nie była taka, jaką życzyłyby sobie.

Ideę książki spointował wydawca Andrzej Rocznik w hasłach zamieszczonych na odwrocie tylnej okładki. Według niego „kwintesencja książki” zawiera się w haśle „Niech żyje niepodległy Śląsk”, co – dodajmy – godzi w suwerenne prawa Polski. Książkę, zdaniem wydawcy „napisał zagorzały niepodległościowiec Śląska, autor wielu artykułów historycznych w «Jaskółce Śląskiej» i «Czasie Górnos Śląskim»”. Jego książka, zdaniem wydawcy to „pierwsze kompendium historii narodu śląskiego napisana z pozycji Ślązaka”, oraz, że wielu Polaków publikacja ta zaskokuje, ale historię należy odkłamywać”.

Występując w roli bohaterskiego szermierza prawdy, i tym podobnych idei (zob. *Wstęp*) autor dystansuje się od opracowań polskich, niemieckich i czeskich, w istocie gromi wyłącznie literaturę polską i polskich historyków, zresztą nie zwracając sobie głowy rzeczową krytyką ich poglądów. I chociaż, jak pisze, nie zgadza się z nimi, bo są tendencyjne i naznaczone „piętnem politycznej manipulacji” (?), przecież opisane przez nich fakty posłużyły mu w opracowaniu jego dzieła (s. 187). Odnosząc się z pogardą i lekceważeniem do niezmiernie bogatej literatury polskiej, pomijając ją niemal w całości, z wyjątkiem kilku wydawnictw dobranych chyba tylko według dobrego czy też może złego humoru, Jerczyński oświadczył, że korzystał „niemal wyłącznie z opracowań i źródeł polskich” (s. 189). Sam wybór tej literatury jest po prostu nędzny. Do niej zalicza chyba także swoje artykuły,

bo w odnośnikach należą one do najczęściej cytowanych. Ale stwierdzenie o korzystaniu „niemal wyłącznie” z wydawnictw polskich ma charakter demagogiczny, z którego autor kłamliwie i równie demagogicznie jakby usprawiedliwia się, oświadczając: „dlatego moja książka może nie być pełna i pomijając informacje szczególnie polskim historykom niewygodne, za co swoich czytelników przepraszam. Jednak sądzę, że w chwili obecnej jest jedyną pozycją na rynku wydawniczym, która próbuje ukazać pełny i obiektywny obraz politycznej historii Śląska, odarty z polonocentryzmu i tendencyjnych manipulacji politycznych” (s. 188). Zatem książka oparta na polskiej literaturze nie może być pełna, ale oparty na niej obraz przedstawiony przez autora jest „pełny i obiektywny”. Jeśli ponadto autor pomija to co „historykom polskim niewygodne” (?) i za to przeprasza czytelników, oznacza to, że zamierza pisać to co dla polskich autorów jest „wygodne”, a więc ostatecznie akceptuje stanowisko znieawidzonej przez siebie literatury polskiej. Jest to niewątpliwie ironia, ale czy czytelnik zrozumie ją tak, jak tego sobie życzy autor? Autor łagodzi przy tym apodyktyczny ton ze wstępu i z opinii wydawcy, gdyż zaznacza, iż dzieło jest tylko „próbą” obiektywnie ujętych dziejów Śląska. Podobnych wywodów, równie demagogicznych co prymitywnych jest w książce znacznie więcej, i one -używając słów wydawcy – najbardziej szokują. Według zapowiedzi książka daje pełny obraz, ale równocześnie ten sam obraz jest niepełny, zarazem dokładny i uproszczony.

Książka istotnie szokuje, jak sądzę nie tylko polskiego, ale każdego czytelnika, wszakże nie z powodu „odkłamywania”. Autor postawił na baczność historię Śląska i rozkazał jej być taką, jak sobie tego życzy. Według takiej autodyrektywy, po swojemu, w wykrzywionej perspektywie przedstawia dzieje polityczne Śląska, zakładając, że to właśnie oznacza historię „narodu śląskiego”. Ale tego „narodu” w całej książce w istocie nie widać, jeśli nie liczyć „zagorzałych” zwolenników idei takiego narodu. Według autora dzieje Śląska były tego rodzaju, że powinny wykształcić odrębny naród śląski, a bogate dzieje tego regionu powinny być ukształtować w jego granicach taki naród. Jest to myślenie ahistoryczne. Przeszłość bowiem, by tak rzec, nie liczyła się z życzeniami autora.

Zgodnie z zapowiedzią we Wstępie, mamy w książce do czynienia z historia Śląska, a nie „narodu śląskiego”. Przybierając pozę nieskazitelnego obiektywizmu, autor przekonuje, całkiem werbalnie, że tego obiektywizmu totalnie brak w dotychczasowej literaturze polskiej niemieckiej i czeskiej. Jest to swego rodzaju antykokieteria autora, gdyż cała książka napisana jest z manifestacyjną antypolską awersją. Z całą namiętnością tępi się przy tym „białe plamy”, aby w książce zastąpić je „czarnymi plamami”.

Ostatecznie cel książki określa się w sposób zawity i niejasny, jakimś dziwnym żargonem polityczno-propagandowym: „Głównym celem tej publikacji jest udowodnienie faktu [?], iż Śląsk nie jest regionem, gdyż jest w pełnym tego słowa znaczeniu krajem [?], do którego roszczenia wnosili wszyscy sąsiedzi”, podzielonym dziś na części, w tym także „i polską... którą wszyscy znamy (oficjalnie re-

gion Polski, który jednak jest traktowany jak odległa kolonia [?] znajdująca się pod stałą kontrolą [?] «przemalowanych towarzyszy» z Zagłębia)”. Trudno to nazwać inaczej, niż jakąś hybrydą myślową. I jak na ironię, właściwie autoironię, pisze się w książce: „Udowodnienie tego [tzn. czego?] określa wybór faktów, na których skupiłem uwagę”. Z tej językowo dziwacznej żonglerki słowami wynika tylko jedno, że autor nie tylko nie zamierza być obiektywny, wręcz przeciwnie, będzie się posługiwał takim doбором faktów i będzie je tak opisywał, aby w pełni zgadzały się z założeniami, a nie z prawdą. Mam potężne wątpliwości, czy jakikolwiek, najbardziej rzetelny historyk miałby odwagę powiedzieć o sobie tak, jak autor książki: „Mam nadzieję, iż publikacja ta rozwieje wszelkie wątpliwości czytelników, dotyczące Górnego Śląska...” Dlaczego tylko „Górnego”?, przecież autor zapowiada omówienie dziejów całego Śląska.

Swoje rozważania rozpoczyna Jerczyński od czasów prehistorycznych i stwierdza jako fakt niewątpliwy, że „mieszkańcy Śląska posługiwali się narzeczem języka słowiańskiego” i że „były to już odrębne plemiona Śląskie” (s. 6–7). Jest to, jak sam autor pisze, „teza”, skłaniająca do pytań, na które w książce nie ma odpowiedzi. Mianowicie czy wszystkie plemiona śląskie same wiedziały, że są śląskimi, dlaczego nazywali się np. Dziadoszanami, Bobrzanami itp., a nie właśnie Ślązakami? Ale autor wie na pewno, że nie można ich traktować jako plemiona polskie, mimo że polscy badacze powołują się w tej mierze na „taki sam poziom kultury i podobną architekturę”, argument, który w książce uznaje się za „absurdalny” („argument” absurdalności występuje w tekście nagminnie). Ze zjadliwą ironią ośmiesza się przy tym opinie Kazimierza Popiołka, który uważa je za plemiona polskie. „Takie twierdzenie to całkowity absurd – stwierdza autor – gdyż plemiona te nie posiadały daru jasnowidzenia i nie wiedziały, że trzysta lat później powstanie państwo Polan...” Cóż na to odpowiedzieć? Prawnuk, czy tym bardziej praprawnuk wie, kto był jego pradziadkiem, czy też prapradziadkiem, ale ci ostatni nie wiedzą, że będą mieli właśnie tego a nie innego pra, czy też praprawnuka. Praplemiona słowiańskie na Śląsku na pewno nic nie wiedziały o przyszłym państwie polskim, zresztą także o innych państwach w przyszłości, ale późniejsza społeczność polska wiedziała, że także plemiona te były ich antenatami. Teza o ich „podboju” ze strony polskiej to tylko kolejna „teza”, aby radykalnie oddzielić plemiona śląskie od późniejszej społeczności polskiej. Na jednej stronie, siódmej, kilkakrotnie pisze się o „nacjonalistycznych historykach polskich”. Ze szczególną zajadłością znęca się autor nad twierdzeniami Kazimierza Popiołka, który przecież był Ślązakiem, ewangelikiem, ale także polskim patriotą.

Śląskiej narodowości poszukuje autor na gruncie dziejów politycznych, zakładając, że polityka jest źródłem wszelkich znamion narodowości. Zaczyna od państwa Samona twierdząc, że nazwa „Państwo Samona” miało charakter oficjalny (?), to znaczy obowiązujący w tym państwie, co jest czystą fantazją. Autor przyznaje, że źródła nie dają podstaw do stwierdzenia, czy plemiona słowiańskie znajdowały się w obrębie tego państwa, „choć – jak stwierdza – istnieją archeolo-

giczne przesłanki pozwalające wysnuć tezę [!], że również Śląsk znajdował się w „Państwie Samona”. Brak jednak jakiegokolwiek sprecyzowania owych przesłanek. Razi to tym więcej, że „nacjonalistycznym historykom polskim” zdecydowanie odmówił Jerczyński prawa do wysuwania jakichkolwiek wniosków etnicznych na podstawie przesłanek materialnych („podobnej architektury”; zob. wyżej, s. 7). Według opinii poważnych badaczy, o związkach Śląska z państwem wielkomorawskim, a tym bardziej z państwem Samona nie da się nic konkretnego powiedzieć, ale wbrew temu, Jerczyński wie. (por. W. Korta, *Historia Śląska do 1763 roku*, Warszawa 2003, s. 57). Dla autora najważniejsze jest jednak, że wysuwana „teza” odpowiada własnym poglądom i one są najważniejszym „argumentem”. Pisząc o przynależności Śląska do „potężnego chrześcijańskiego państwa” wielkomorawskiego, podkreśla zarazem, że wówczas „zacošana pogańska Polska próbowała dopiero sklecić jakąś państwowość na terenie dzisiejszej Wielkopolski”. Z pełną satysfakcją autor stwierdza wielokrotnie, że Polski jeszcze nie było, ale jakoś próbowała sklecić. (s. 9). Takie zacietrzewienie i alogiczne myślenie występuje niezwykle często w książce Jerczyńskiego. W ten sposób „nacjonalizm historyków polskich” odreagowuje nienawiścią do Polski.

Kilkuniekową przynależność Śląska do państwa polskiego zasłania się, zaznaczając to nawet w tytule podrozdziału: „Plemiona śląskie. Przynależność Śląska do ościennych państw słowiańskich do połowy XII wieku”. Ponieważ polskiego aspektu ukryć się nie dało, autor przedstawia go w świetle skrajnie ponurym. A więc Polacy (Polanie – zaznacza autor) dokonywali podbojów (s. 10), sam Mieszko był zdrajcą, władcą, który „dokonał najazdu na Śląsk, Chrobry tylko podporządkowywał sobie obszary ościenne, dokonał podboju Moraw i Łużyc (s. 10–11). Uogólniając, autor twierdzi, że „ówcześni władcy [rozumie się tylko polscy] niczego nie jednoczyli, a jedynie podbijali wszystko co się dało” (s. 11). Ziemię opanowaną przez Chrobrego były ziemiami „okupowanymi” (s.11). „Dzięki poparciu cesarza niemieckiego Ottona III – czytamy w książce – został Bolesław Chrobry koronowany na króla Polski” (s.11). A koronacja nastąpiła w 1025 r., kiedy Otto III nie żył już od ponad 20 lat. Inni władcy, nie polscy, byli w mniemaniu autora niezwykle szlachetni. A więc w 1004 r. wyparto z Czech „polskich okupantów”, potem „Niemcy odzyskali” Łużyce. Szkoda, że nie wspomniał autor, że w tradycji Serbów Łużyckich lata panowania Chrobrego do dziś wspominane są jako najpiękniejsze w ich historii. Autor książki takimi detalami jednak się nie zajmuje, bo jego zdaniem w pokoju budziszyńskim 1018 r. władza polska na Śląsku została sankcjonowana na niekorzyść Czech, a przyłączenie Łużyc do Polski – na niekorzyść Niemiec (s. 11–12). Tak zdecydował autor. Polska zatem nie miała prawa do żadnych „korzyści”, bo Jerczyński tego sobie nie życzy.

Rozbicie dzielnicowe w Polsce nazywa autor „wojną domową w monarchii Piastów, bo przecież „wojna” brzmi efektowniej niż walki lub konflikty między książętami piastowskimi (s. 14). Przy tym daje upust bez przesady maniakalnego kompleksu w stosunku do „nacjonalistycznych i tendencyjnych historyków pol-

skich". Bo „sojusze zawierane na przemian przez władców polskich i czeskich z Niemcami" dowodzą, że ówczesne konflikty nie miały wówczas jakichkolwiek podtekstów narodowościowych" (s. 15). (Należałoby zaznaczyć, że ludzkość zna wiele innych „podtekstów"). W związku z tym Jerczyński wyważa od dawna w literaturze otwarte drzwi, twierdząc, że kształtowanie się nowożytnej świadomości narodowej przypada na drugą połowę XIX w., dodając, że „Śląsk nie jest pod tym względem wyjątkiem" (s. 10).

„Natomiast w XI wieku – stwierdza autor – ludność śląska identycznie jak w całej Europie miała świadomość przynależności feudalnej do właściciela ziemi, na której żył" (s. 15). Otóż „świadomość przynależności feudalnej" jest jakimś dziwolągiem pojęciowym, z którego doprawdy nic nie wynika. Sam feudalizm jest kategorią ekonomiczną, która, jeśli jednoczyła, to, używając żargonu autora, jednoczyła nie „do właściciela ziemi", tylko przeciw niemu. W związku z tymi rozważaniami autor wymienia jeszcze inny element odrębności Ślązaków, mianowicie językowy. Zgodnie z tym ludność śląska „odczuwała również z całą pewnością odrębność etniczno-językową od wszystkich sąsiadów, czyli Czechów, Polan, Morawian..." (s. 15). Okazuje się, że to twierdzenie ma charakter oczywistej manipulacji, na co wskazują antypolskie wynurzenia autora. Twierdzenie o odrębności językowej Ślązaków w XI w., również w odniesieniu do Polan, było potrzebne do wykazania, jak bardzo Śląsk, należący wówczas do Polski, był zjawiskiem niepolskim. Kilka wieków później, gdy Śląsk należał do Czech, a pośrednio był we władaniu cesarstwa niemieckiego, w drugiej połowie XV w. „śląski, czeski i polski były do siebie wówczas bardzo podobne" (s. 45). Jak widać, autorowi z największą łatwością przychodzi relatywizowanie charakteru i znaczenia zjawisk historycznych, w zależności od również relatywnie traktowanych wywodów. Ponadto uznać można za bardzo śmiałą tezę, że „na Śląsku utrwaliła się silna odrębność kraju [?] na styku wpływów państwowych morawskich, polskich i czeskich oraz w dużo mniejszym stopniu zwierzchnich [?] niemieckich" (s. 15). Samo pojęcie odrębności jest tu całkowicie niedoprecyzowane i niejasne, a ponadto „wpływy państwowe" można też rozpatrywać jako czynnik dezintegrujący. Tak czy inaczej, oznacza to konsekwentne rozpatrywanie zagadnienia etnicznego na gruncie zjawisk politycznych, a nie kulturalnych.

Utożsamiając naród z państwem, uznając je za źródło i fundament narodowości, Jerczyński bez trudu znajduje na Śląsku państwo, a nawet państwa niepodległe w XIII w. (rozdział II). Takich państw nigdy na Śląsku nie było, ale autor książki wie, że były i to dla niego ma znaczenie podstawowe, decydujące. Zaznacza się to już w podtytułach rozdziału: „Niepodległe księstwa śląskie w XIII wieku", „Suwerenna państwowość", „Królestwo Śląskie" [?], „Potęga monarchii śląskiej" [!]. Do kompletu brakuje jeszcze mocarstwa śląskiego. Można na to jedynie wzruszyć ramionami. Do godności tak wielkich potęg podniósł autor rodowe, dynastyczne władztwa Piastów na Śląsku, czyli po prostu księstwa, z woli samych władców zmieniające granice, ulegające podziałom. Autor się z tym nie godzi i nie uważa za

możliwe np. praktykowanie podziałów w wyniku darowizn, i pisze: „Bezinteresowność w oddawaniu ziem... jest dla mnie niewiarygodna... Opowieść o podarunku na chrzciny wkładam więc między bajki, legendy i mity” (s. 165, przypis 18). Jak z tego widać, autor z całą bezceremonialnością praktykuje znaną skąd inąd zasadę: sic volo, sic jubeo, sit pro ratione voluntas. Nie liczą się fakty ani źródła, bo są nie po myśli autora. Inaczej: historia i fakty muszą się liczyć z życzeniami i pomysłami autora, a nie odwrotnie.

Z niezwykłą przedylekcją, wielokrotnie zaznacza autor, że Piastowie śląscy od XIII w. „byli raczej [?] książętami niemieckimi, niż polskimi”, bo mówili po niemiecku, wchodzili w koligacje z rodzinami niemieckimi itp. (rozdział II). Dla ścisłości należałoby powiedzieć, że niezależnie od używanego języka, czuli się książętami piastowskimi. Śląska tożsamość nie miała dla nich żadnego znaczenia. Podobnie w późniejszych wiekach Habsburgowie czuli się nie Austriakami, ani Niemcami, tylko Habsburgami, Hohenzollernowie zaś Hohenzollernami, którzy językiem niemieckim gardzili. Zresztą Piastowie śląscy traktowani są w książce jako Niemcy tylko kontekście kwestii polskich, poza tym są Ślązakami. Jeden z Piastowiczów, „Georg Wilhelm Piast” był nawet księciem „niemiekojęzycznym” (s. 61).

Z rozważań w rozdziale III dowiadujemy się, że w sytuacji rozbitcia dzielnicowego „Śląsk wybił się na niepodległość” bo „książęta śląscy, przyjmując zwierzchność króla Czech, dokonali słusznego wyboru” gdyż Śląsk „jako część władztwa Korony Czeskiej, zachował ogromną [!] niezależność” (47). Taka „niezależność” to wszakże nie „niepodległość”, ale autor jakoś to godzi ze sobą. Nie przeszkadza mu to nazywać księstwa opolskiego „państwem górnośląskim”, a nawet „suwerennym, wielkim Księstwem Opolskim”, a wszystko to według suwerennego i absolutnego życzenia autora.

Odpowiednio wysoką rangę nadaje się w książce wybranym wydarzeniom z czasów wojny trzydziestoletniej. O luźnym i nietrwałym porozumieniu książąt śląskich pisze się jako o „suwerennym powstańczym rządzie śląskim”, o „powstańczej armii śląskiej”, którą dowodził „wódz naczelny armii śląskiej” (s. 57–59). Wygląda to tak, jakby wielkie zmagania militarne XX wieku przenieść na teren śląskich zmagani na początku XVII wieku. Wszystko, co zasługuje na entuzjazm autora, musi wyglądać odpowiednio potężnie i mocno (por. *Historia Śląska*, red. M. Czapliński, Wrocław 2002, s. 171–173).

Stosunek Polski do Śląska ujmuje się w książce według prymitywnej recepty: gdy Polska angażowała się w sprawy Śląska, według autora czyniła to absolutnie bezpodstawnie, a gdy z różnych powodów nie ingerowała w nie, dowodziło to, według autora książki, że Śląsk jest jej obcy. Zdaniem Jerczyńskiego Polska nie była zainteresowana Śląskiem nawet w okresie swej największej potęgi, „mimo iż miała wiele okazji by nim zawładnąć” (s. 66). Sporo miejsca poświęcił autor, aby dowodzić, iż wyprawa króla polskiego Jana III Sobieskiego, prowadząca przez Śląsk wprawdzie wzbudziła entuzjazm Ślązaków, ale zdaniem Jerczyńskiego nie wynikało to z poczucia więzi z Polakami.

Wkraczając na teren XIX w., Jerczyński ograniczył się do wybranych kwestii, celem wykazania, że ich ujęcie przez polskich historyków jest pozbawione jakichkolwiek podstaw. Nie przedstawił jednak własnej spójnej koncepcji, zwłaszcza w zakresie zagadnień językowych, które w XIX w. miały doniosłe znaczenie w kształtowaniu się tożsamości wielu narodowości zwłaszcza w Europie zwanej dziś środkowo-wschodnią.

Kwestia językowa nigdzie w *Historii narodu śląskiego* nie jest omówiona jako odrębny, ważny problem. Przesłaniają go zagadnienia polityczne. Ponieważ nie sposób było pominąć tego zagadnienia, autor raz po raz, na wielu miejscach porusza je, jednak bez jakiegś spójnej koncepcji. Ideą autora w tej mierze jest tylko oddzielenie języka polskiego od „śląskiego” tylko po to, aby przekonywać, najogólniej rzecz biorąc, że mówiący po polsku Ślązacy nie byli Polakami. Już we wstępie autor przeprosza czytelników, że nie pisze „po śląsku”, zakładając, że taki język istnieje, ale w tym samym zdaniu usprawiedliwia się, że „język śląski jest bardzo niejednolity dzieli się bowiem na kilkanaście dialektów...” A zatem „język śląski” jest i zrazem go nie ma. Według autora trzeba go dopiero stworzyć. We wstępie daje próbkę takiego języka, którego pisownia została spreparowana również z troską o oddzielenie go od języka polskiego, a którego sami polscy Ślązacy musieliby się najpierw nauczyć. „Język śląski – pisze autor – jest zaś pełnoprawnym językiem słowiańskim... a nie gwarą, narzeczem, czy też dialektem języka polskiego” (*Wstęp*). Z tego wyciąga się wniosek, że mówiący tym językiem „są narodowości śląskiej”, co zresztą, według niego nie wyklucza przynależności polskiej i innej. Z taką konsekwencją własnej myśli autor się nie godzi. W tym celu na dalszym miejscu autorytatywnie głosi, że głównym elementem odróżniającym język polski od śląskiego są głoski ą i ę, nieobecne w języku Ślązaków (s. 63). Zaznaczyć wypada, że nie jest to żadna istotna odmienność. Język polski ludności polskiej na Kresach wschodnich, mieszkającej we wsiach, również nie zna głosek „ą” i „ę”, co w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało jej uważać się za Polaków i bez najmniejszego trudu porozumiewać się z tymi środowiskami Polaków, którzy w swej mowie owe głoski respektowali. Zresztą do dziś w języku potocznym w Polsce nader często pomija się je.

W dalszych fragmentach nawarstwienie prymitywnych ahistoryzmów w kwestiach językowych spiętrza się. W odniesieniu do początków XIX w. pisze się: „Wyparty [?] język czeski obok niemieckiego zastępował [?] znany Ślązakom z kościołów język polski” (s. 68).

Sama zastępczość jest tu zupełnie niezrozumiała. Znajomość przez Ślązaków „z kościoła” języka polskiego dowodzi, że różnica między polszczyzną a śląszczyzną nie miała istotnego znaczenia. Sam autor to potwierdza: „Natomiast w życiu codziennym używali mieszkańcy Górnego Śląska języka śląskiego zwanego przez Niemców wasserpólnisch, który pod wpływem obecności tutaj polskich duchownych, najbardziej zbliżył się do języka polskiego” (s. 68). Z tego wynika, że przyjęcie języka polskiego, dodajmy – zwanego przez Niemców pogardliwie wasserpólnisch

nisch, nie stanowił przeszkody w akceptowaniu języka polskiego, zwłaszcza że sami „polscy duchowni” niemal bez wyjątków byli również Ślązakami. Mimo to, twierdzi autor, „obok niemieckiego, tak naprawdę był używany język śląski a nie polszczyzna”, o czym miałyby świadczyć „niektóre oficjalne [?] nazwy miejscowości” (s. 68). Całkowitym zmyśleniem jest twierdzenie, że „oprócz władz pruskich zaistnienia [!] pełnoprawnego języka śląskiego nie chcieli również polscy księża katolicy, prowadzący nauczanie po polsku, a nie po śląsku. Można zapytać retorycznie: który z owych „kilkunastu dialektów” i „kilkudziesięciu gwar” (*Wstęp*) mieli wybrać celem nauczania?

Dalsze rozważania językowo-narodowościowe jeszcze mocniej zadziwiają. Otóż „część śląskiej inteligencji z Józefem (Josefem) Lompą... na czele popełniła kolosalny błąd, który zaważył na przyszłości Górnego Śląska” (s. 70). Wśród tej inteligencji, oprócz Lompy, autor nie wymienia nikogo z I połowy XIX w. Nieco dalej mowa jest o „śląskich intelektualistach”. Otóż zdaniem autora książki, „błąd” inteligencji i intelektualistów polegał na tym, że nie stworzyła specyficznie śląskiego języka literackiego, uważając język polski „za swój język literacki”, „śląski zaś ogłosiła [?] jego narzeczem, bezpodstawnie zawłaszczając [?] tym samym spuściznę literacką polskiego kręgu kulturowego” (s. 70). Jest to typowy przykład rozkazywania ludziom przeszłości i historii, jaka powinna była być tylko dlatego, że autor tego sobie życzy. I skąd oni o tych życzeniach mogli wiedzieć? Ciekawe, że w książce ani słowem nie wspomina się o ks. Ficku, który był Ślązakiem, na pewno znał „język śląski” w jego różnych dialektach i gwarach, a równocześnie uważał się za Polaka w znaczeniu narodowym. Samemu Lompie wyznaczył Jerczyński zadanie, któremu na pewno nie mógłby sprostać. Tę sytuację, zdaniem autora „błyskawicznie [?] podchwyciła... licznie zamieszkała na Górnym Śląsku inteligencja wielkopolska, która dzięki rozpropagowaniu tej bezsensownej tezy, zbudowała swoją pozycję wśród części tutejszej ludności” (s. 70). Autor antycypuje pewne fakty i wydarzenia, bo to chyba nikomu nie szkodzi, jedynie polega na nieprawdzie. Cóż można odpowiedzieć na takie myślenie. Chyba tylko tyle, że historia była, jaka była, zresztą nieraz także bezsensowna.

Kreując historię, jakiej nie było i jakiej nikt jeszcze nie zna, autor książki modeluje odpowiednio wiele innych faktów i wydarzeń. Na przykład wybrani w 1848 roku do pruskiego Zgromadzenia Narodowego chłopci z Górnego Śląska, nie mogli zabierać głosu w obradach tego gremium, gdyż, jak czytamy w książce, „nie znali niemieckiej terminologii prawnej na tyle biegle, więc zastąpił ich ks. Szafranek, „orędownik równoprawności języka polskiego” (s. 71–72). W istocie chłopci w ogóle nie znali języka niemieckiego w takim stopniu, by mogli przemawiać. Podobnie było z polskimi chłopami w austriackiej Radzie Państwa. Józefa Łepkowskiego przedstawił Jerczyński jak niechcianego na Górnym Śląsku intruza, jego zdaniem słusznie wydalonego w 1849 r. przez władze pruskie „na ziemię historycznie i etnicznie polskie” (s. 72). Jak na jedno wydalenie, bardzo wzniośle zostało to powiedziane i kąśliwie, tylko na pół prawdziwie, tak aby zmylić szanowanego czytelnika.

ka. Należałoby przecież dodać, co Jerczyński całkowicie pominął, że Łepkowski miał paszport pruski, a więc przebywał legalnie w Prusach, że jego celem były badania naukowe we Wrocławiu, że udając się tam, w związku z wydarzeniami 1848 roku, na prośbę Polaków z Górnego Śląska zatrzymał się tam i pozostawał aż do wydalenia. Jeśli hr. Oppersdorf i Franz v. Ballestrem działali w Centrum, obok Polaków, Ślązaków, to warto zaznaczyć, że ten pierwszy życzliwy był wobec Polaków, a Franz kilkanaście lat później publicznie oświadczył, że Polaków „należy bić po pysku”. Że Karol Miarka dał się uwieść polonizacyjnym namowom Bogedaina i Stalmacha, jest twierdzeniem naiwnym i równie naiwnym sposobem dyktowania mu, czym powinien być. Nieprawdą jest, że Bogedain był człowiekiem „gardzącym śląskim” językiem. Błędny jest twierdzenie jakoby było „wiadomo dzisiaj, iż Bogedain uważał, że zastąpienie nie ustandaryzowanego [?!] języka śląskiego – literackim polskim, równie obcym Ślązakom jak niemiecki przyspieszy proces germanizacji” (s. 74). Bogedainowi obce były jakiegokolwiek dążenia narodowe, a władze pruskie – literatura zaś niemiecka do dziś – nie mogły darować Bogedainowi, że przez swoją działalność szkolną w rejencji opolskiej poważnie utrudnił germanizację w latach późniejszych.

Autor nie zaznaczył, że dr Nieborowski (Paul Nieborowski) był księdzem katolickim, należał do najbardziej zagorzałych polakożerców, a jego broszura kilkakrotnie wydawana po wojnie w języku niemieckim pod nieco zmienionym tytułem, wyrażała jego antypolskie przekonania. Przytoczenie tytułu jego broszury w tłumaczeniu polskim sugeruje, jakoby był polskim autorem. (s. 76). Twierdzenie ks. Głowackiego, jednego z nielicznych wówczas na Górnym Śląsku księży związanych z Centrum, o orientacji hakatystycznej, czyli antypolskiej, Jerczyński, nie podając źródła, przytacza je w polskim tłumaczeniu, jak sądzę bezmyślnie. Bo jeśli, jak czytamy w książce, ks. Głowacki powiedział, że „nie ma wśród nas Polaków, są jedynie po polsku Górnoszlązacy”, godzi to w naczelną tezę książki, że na Górnym Śląsku byli tylko po Śląsku mówiący Górnoszlązacy. Ale Głowacki na pewno mówił o „mówiących po polsku Prusakach”, co również pozostaje w niezgodzie ze stanowiskiem autora (s. 77). Ale Jerczyński sądzi, że wypowiedź Głowackiego w pełni potwierdza jego pogląd.

Żeby podważyć polskie znaczenie pielgrzymek (autor pisze: wycieczek) Górnoszlązaków do Częstochowy, zaznacza, jakie straszne musieli stamtąd wnosić wrażenie „na widok pijanych i brudnych Polaków klasztorze” (s. 76). Żeby opinia była „obiektywna” i sprawiedliwa, autor cytuje w książce jedynie wypowiedź Chwalby z „Gazety Wyborczej” (przyp. 90). Można by zapytać retorycznie: poza tym w klasztorze niczego nie widzieli? Prześmiewców nigdy nie brakowało i dziś nie brakuje. Łacińskie porzekadło głosi: „audiatur et altera pars”. Ale autorowi jak ułał pasuje ta jedna jedyna. Brakuje tylko w książce ważnego dopowiedzenia, że pątnicy z Górnego Śląska tak byli zaszokowani pijaństwem i brudem w klasztorze jasnogórskim, że już przenigdy potem tam nie przybywali. Dopiero to byłoby prawdziwa „rewelacją”.

Całkowicie dowolne i nieprawdziwe jest twierdzenie, że „w międzyczasie” (?), domyślnie – na przełomie XIX i XX w. „do propagandy polonizacyjnej przystąpiła znaczna część [?] niższego szczebla górnośląskiego kleru katolickiego, rekrutująca się głównie z Wielkopolski” (s. 79).

Pisząc o wyborach do Landtagu w 1908 r., autor zaznacza, że „sami Polacy zdobyli jedynie trzy fotele poselskie” (s. 81). Biorąc pod uwagę jawny i dwustopniowy system wyborczym należałoby powiedzieć: „aż trzy” fotele. Autorowi pasuje jednak inaczej.

Z jawnym sarkazmem stwierdza się w książce, że najwybitniejsi przedstawiciele niemieckiego kręgu kulturowego, jak Goethe, czy Schiller weszli do kanonów literatury światowej, zaś ich konkurenci [?] Litwin – Mickiewicz i Polak Słowacki są wybitni wyłącznie dla Polaków, pozostając «w zaścianku Europy». Autor, co wypada na tym miejscu nadmienić, nie jest pionierem w głoszeniu tezy o wyższości kultury germańskiej nad słowiańską. Od kilku pokoleń wstecz wielu autorów niemieckich głosiło ją i do dziś głosi z bezprzykładną konsekwencją. Ale licytacja w kulturze, jak sądzę jest z gruntu niestosowna, a nawet, jak tego uczą dzieje, niebezpieczna. Ta, która się wywyższa nad inne, przez to samo się kompromituje. Ewangeliczna myśl: „kto się wywyższa, będzie poniżony” ma swoją uniwersalną wymowę. Autor z pewnością jest innego zdania. Należałoby przy tym postawić pytanie: czy i w jakim stopniu dzieła Goethego i Schillera znane były ogółowi ludności na Śląsku, w szczególności – polskim mieszkańcom Górnego Śląska. Dla nas Polaków szczytowym, nie dającym się przelicytować osiągnięciem kultury niemieckiej są obozy zagłady. Osobiście pierwszy raz zetknąłem się z kulturą niemiecką, gdy jako dziecko byłem świadkiem zbombardowania w sobotę, 9 IX 1939 r. przez 18 bombowców niemieckich dwóch kolejowych transportów polskich uciekinierów cywilnych (kobiety, dzieci, niemowlęta, starcy) i ostrzelanie wsi z broni pokładowej. Skutek: 113 zabitych, nie licząc rannych. W stylu autora należałoby zapytać, czy i o ile jego niniejsza praca powstała z inspiracji Goethego. I czy dekadenski zachód ceni dziś jeszcze owe „kanony literatury światowej”.

Im bliżej czasów najnowszych, tym gwałtowniej rośnie antypolskie zacietrzewienie Jerczyńskiego. Dotyczy to m.in. powstań śląskich. Autor przedstawił je jak krwawą awanturę wywołaną przez Polaków, z którą Ślązacy jakoby nie mieli i nie chcieli mieć nic wspólnego, a jeśli uczestniczyli w nich, to tylko dlatego, że zostali przymuszeni przez Polaków spoza Śląska i – dodajmy – nie mieli możliwości dezercji z polskich oddziałów powstańczych. Trzecie postanie – według autora – rozpoczęło się, gdy „z obozu POW w Sosnowcu na terytorium plebiscytu wpadła ponad 50 tys. Armia powstańcza”. Powstańcy chcieli „zamienić powstanie w rewolucję społeczną” (s. 118). Jacyś „powstańcy śląscy” jednak byli, ale zdaniem autora jako „polscy najemnicy” (?), którzy wzięli „do oddziałów powstańczych” mieszkańców Górnego Śląska, a „którzy nie mieli najmniejszej ochoty oddawać życia, aby zabijać swych rodaków” (s. 119). Tyle przy tym przewrotnych sądów, porównań, przekłamań – tylko po to, aby Polaków przedstawić jako zawo-

dowych okrutników. „Szeregowi powstańcy śląscy walczyli o odłączenie od Niemiec, co nie jest przecież równoznaczne z chęcią przyłączenia do Polski”, lecz o Górny Śląsk, na którym mówienie po Śląsku nie czyniłoby z nikogo obywatela drugiej kategorii” (125). Cóż na to powiedzieć? Przed wojną Polska nie miała nawet możliwości zabraniać mówienia jakimkolwiek językiem.

W porównaniach cyniczne jest powoływanie się na „powstanie narodowe Ukraińców 1944–1947” (s. 126–127). Beztróskim kłamstwem jest twierdzenie, że Górnoszlązacy „nie odczuwali żadnych powiązań” z Polakami i polskim narodem. Cenili sobie kontakty z literacką polszczyzną, na co wskazują tysiączne rzesze słuchających kazań jezuita ks. Antoniewicza na Górnym Śląsku już na początku lat pięćdziesiątych XIX w. i coraz większe zainteresowanie narodową kulturą polską, zwłaszcza od końca XIX w., a Mickiewicz był im bliższy niż Goethe i Schiller. Nie wiedzieli przy tym, tak jak autor, że Mickiewicz był Litwinem. Po prostu uważali go za wielkiego Polaka. Przykłady kontaktów z Wielkopolską, Galicją a także z Królestwem można by przytaczać bez liku. Także Polacy interesowali się rodakami na Śląsku, czego znakomitym przykładem jest materialna pomoc szerokim nurtem napływająca zwłaszcza z zaboru rosyjskiego, gdy Polacy na Górnym Śląsku dotknięci byli klęską głodu spowodowaną nieurodzajem w 1879 r. Tego rodzaju fakty nie chcą wszakże przystawać do żadnej z tez autora.

Do fantazyjnych należy zliczyć opinię, że „państwo polskie nie zdołało wypracować konstruktywnych wzorców dumy narodowej, chępiąc się jedynie destrukcją” (s. 127). To jeden z wielu występujących w książce, jak mówi obiegowe porzekadło „gadanie trzy po trzy”, czyli bez sensu. W uzasadnieniu przytacza autor wypowiedź Jerzego Buzka z 2001 r., choć myśl o braku dumy narodowej Polaków dotyczy czasów, gdy państwo polskie po pierwszej wojnie światowej dopiero dźwigało się. Ponadto duma narodowa wyrasta na podłożu kultury narodowej, a nie polityki. Dopiero system komunistyczny poprzez ingerencje polityczne i ideologiczne doprowadził do instrumentalizacji zarówno kultury jak i tych wartości, które mieszczą się w pojęciu dumy narodowej.

Na szczyty zakłamania, cynizmu i antypolskich awersji wzniósł się autor gdy pisze o „nazistowsko-sanacyjnym aliansie”, czyli o polsko-niemieckim układzie o nieagresji w 1935 r. (s. 143). Na takim samym poziomie wiedzy i myślenia historycznego wyjaśnia „agresję III Rzeszy na Polskę”. Była ona, jak twierdzi autor, spowodowana pretensjami terytorialnymi Niemiec pod adresem Polski, ale według niego, nie tylko, bo „innym powodem tej agresji było terroryzowanie działaczy niemieckich organizacji mniejszościowych w Polsce przez nacjonalistyczne bojówki...” i usunięcie pomnika W. v. Redena w Chorzowie. „Nie sugeruję w żadnym wypadku – pisze autor – że Polska była winna tej agresji, lecz wskazuję na to, że się do niej przyczyniła” (s. 147). Autor „nie sugeruje”, ale „wskazuje”. To przecież to samo. Jak mówi ludowe porzekadło, „kijem czy pałką, zawsze po łbie”. „Postawa władz sanacyjnych po roku 1935 sprawiła – czytamy w książce – że najazd na Polskę popierała zdecydowana większość społeczeństwa niemieckiego”, a więc

społeczeństwo to miało prawo (tylko jakie?) wymierzania Polsce sprawiedliwości. Jakie to proste i bez zarzutu! O pakcie Ribbentrop - Mołotow, haniebnym zarówno ze strony niemieckiej jak i sowieckiej, autor dyskretnie milczy. „Sugerowanie” i „wskazywanie” byłoby całkowicie zbędne gdyby autor zechciał powołać się na przemówienie Hitlera z 22 VIII 1939 r., w którym mówił: „Wydąłem rozkaz zabijania bez litości, i bez miłosierdzia mężczyzn, kobiet i dzieci polskiej mowy i polskiego pochodzenia. Tylko w ten sposób zdobędziemy potrzebną nam przestrzeń życiową... Polska będzie wyludniona i zasiedlona Niemcami”. Sapienti sat! Ten, nie tylko antypolski, ale antyludzki program niemieckie zagony zbrojne realizowały z prawdziwie niemiecką konsekwencją i dokładnością w kooperacji z Rosją sowiecką. Tego faktu autor nie dostrzega, ale w patetycznym tonie sędziego głosi, że 3 IX 1939 r. „opór garstki cywilów do tego stopnia rozwścieczył wkraczających do Chorzowa i Katowic... żołnierzy Wehrmachtu, oraz wspomagających ich pronieemieckich Górnoślązaków..., iż zrzucali oni rannych harcerzy ze szczytu wieży spadochronowej w Katowicach, stanowiącej ich punkt oporu”. Autor dodaje ze znanstwem, że działo się to „zgodnie z prawem wojennym”. Zgodnie z tym prawem, agresorów nie wolno było doprowadzać do wściekłości. Zapewne nie byłoby wtedy powodów do zrzucania żywych ludzi z wieży spadochronowej. Takie jest myślenie autora (s 147), potwierdzone także na następnej stronie. „Brutalność żołnierzy Wehrmachtu – pisze autor – nie jest żadnym novum”, gdyż 20 lat wcześniej Polacy jakoby podobnie potraktowali „broniących swojej ojczyzny Ukraińców i Litwinów”, a zatem wermachtowcy mieli według autora prawo wymierzyć Polakom sprawiedliwość!? Takich niesamowitości wygłaszanych z wyniosłym patosem jest w książce więcej. Autor pisze, że „wówczas nikt jeszcze nie wiedział o istnieniu obozów koncentracyjnych. Nie najlepiej świadczy to o owych „ktosiach” (s. 148). Obozy obozami, ale na Śląsku nie było powodu „by zetknąć się bezpośrednio [?] z nazistowskim terrorem”, a wielu tamte lata wspomina „pozytywnie jako lata porządku”, a nie mieli powodu by zetknąć się bezpośrednio z nazistowskim terrorem, „w konfrontacji z wcześniejszym sanacyjnym i późniejszym komunistycznym polskim bałaganem” (s. 154). Jest to myślenie po prostu chore. Ale autor pisze jakby na oślep. I to jest jego metoda.

Od takiego pseudo myślenia roi się przy omawianiu spraw po 1945 r. Tu autor występuje również w roli sędziego. A przychodzi mu to tym łatwiej, że nie dostrzega i nie chce dostrzegać podstawowego faktu, że od 1944 r. Polska dostała się pod okupację sowiecką, że Polską rządzą Polacy-nie Polacy zbuntowani przeciw narodowi polskiemu, rządzący w interesie Kremla i Rosji sowieckiej, przeciw narodowi polskiemu, że naród nasz został poddany wynaradawianiu (i do dziś jest nie tylko wynaradawiany, ale po prostu niszczone), że najliczniejszymi ofiarami zbrodniczego reżimu komunistycznego w Polsce byli Polacy, patrioci polscy, żołnierze AK, że skazywano ich na śmierć, wywożono nadal na Sybir, że np. niemiecki obóz koncentracyjny w Majdanku po zajęciu przez wojska sowieckie, zapełnili Polacy, że Polską rządzą bezpośrednio agenci NKWD, że... – długo można by po-

wtarzać owe „że”. Zaznaczyć wypada, że do dziś Polska nie jest państwem suwerennym, bo podlega prawom Unii z niemiecką dominacją. Środowisko Jerczyńskiego liczy na to, że w unijnych warunkach Śląsk będzie można od Polski odkroić. Ta „idea” zaznacza się wielokrotnie w książce Jerczyńskiego. Jest to pseudoidea, która zaślepia, nie pozwala bowiem dostrzec, że Polacy przepędzeni ze wschodu na zachód, w tym także na Śląsk, wcale nie uważali się za repatriantów, tylko czuli się ekspatriantami, że zanim ich wysiedlono z rodzinnych siedzib, byli gnębieni, mordowani, masowo wysyłani na Sybir, więzieni, wyniszczani także biologicznie. Autor nazywa ich eufemistycznie przesiedleńcami, co nie oddaje żadnej prawdy o nich. Zapewne uważa, że status „wypędzonych” przysługuje tylko Niemcom, co nie jest niczym nowym. Eugeniusz Tuzow-Lubański z Kijowa pisał w 2003 r.: „Ci Kresowianie byli i są sumieniem Narodu Polskiego. To miłość do Ojczyzny, a nie ich sytuacja decydowała o czynach tych ludzi. Nie ma w nich nienawiści. Dzisiaj z sentymentem opowiadają o swojej młodości, którą przeżyli na Kresach. Ale nikt dzisiaj z decydentów ani polskich, ani ukraińskich nie wspomina o nich – o tysiącach Polaków wypędzonych w rezultacie zmywy jałtańskiej i rzezi banderowskich z ziemi, gdzie mieszkali od setek lat z dziada pradziada. W mediach polskich i ukraińskich krzyczą, jaką tragedią była akcja «Wisła» dla narodu ukraińskiego, bo to jest politycznie poprawne. Natomiast wokół losów wypędzonych z Kresów Południowo-Wschodnich Polaków panuje zмова milczenia – po jałtańska. Czy tak ma być zawsze?” („Nasz Dziennik” 13 VIII 2003). Według Jerczyńskiego zapewne tak.

Ostatecznie autor przychyliła się do koncepcji państwa śląskiego z językiem urzędowym niemieckim i polskim przy pewnych preferencjach dla kilku dialektów śląskich (s. 93). Jest to sposób podejścia do zagadnienia właściwy pomysłom niemieckim. Bo zawsze da się wykazać, że język polski obok niemieckiego nie ma racji bytu. A dialekty śląskie, nazywane przez autora śląskimi dla formalnego oddzielenia ich od języka polskiego, mogłyby się okazać „pokrewne” językowi niemieckiemu. W XIX w. taką opinię notorycznie głosiły niemieckie kręgi nacjonalistyczne i antypolskie, a także niemiecko-pruska biurokracja., również wroga polskości. Że to się nie zgadzało z prawdą, jest oczywiste, ale z polityką po prostu musiało się zgadzać.

Książka Jerczyńskiego, niezależnie od jego deklaracji, ma wymowę pronieemiecką. Ujawnia się ona na każdym kroku. Wskazują na to również jego rozważania na temat nazw miejscowości na Śląsku. Autor wprawdzie dowodzi ich słowiańskiej genezy i to w taki sposób, że mają przemawiać za odrębnością „języka śląskiego” (por. s. 68), ale sprzeniewierzył się głoszonej przez siebie idei, bo notorycznie, obok dzisiejszych polskich nazw, wymienia nazwy niemieckie- a nie słowiańskie – opowiadając się w ten sposób za niemieckim nazewnictwem, które, jego zdaniem powinno obowiązywać. Sprawia to, obok wielu innych mankamentów dzieła, że czyta się je opornie. Co do Wrocławia autor zaznacza, że nazwa ta pojawiła się dopiero po ostatniej wojnie. Jest to nieprawdą. Nazwą „Wrocław” po-

sługiwała się także dawniejsza literatura polska, a także prasa polska, również na Śląsku. Podobne zabiegi zastosował autor w stosunku do imion i nazwisk, przyjmując, że mają one brzmieć tak jak w metryce, niezależnie od tego, czy dana osoba życzyła sobie zmienzonej formy imienia i nazwiska. Autor po prostu wie lepiej, jak powinno być, po prostu tak jak urzędnicy wpisywali do ksiąg metrykalnych, nie licząc się z życzeniami tych, co te imiona mieli nosić. A więc, według autora, imię Korfantego musi brzmieć Adalbert, Karola Miarki – Karl itp. W sposób wyjątkowy potraktował autor Bogedaina, godząc się, aby jego imię brzmiało Bernard, a nie Barnhard.

Książka napisana jest niechlujnie (*sit venia verbo!*). Koncepcja „narodu śląskiego”, „języka śląskiego” jako słowiańskiego jest niespójna i chaotycznie przedstawiona. Niezależnie od błędów wykazanych w Erratach, roi się od niedociągnięć stylistycznych, gramatycznych, nie wyłączając interpunkcji. Oto przykłady: „niemiecka jezyczność dworu małopolskiego”, „oblężły Kraków” (s. 36), „pro polską” (s. 38), błąd ten powtarza się, „Polska nie interweniowała była” (s. 41), „podpisana w Ulmie” (s. 56), „nie istnienie” (s. 92), „dzięki nie realizowaniu” (s. 83), „udowadnianie faktu” (s. 3), „autentycznych dziejów historii” (?) i wiele, wiele innych. Nie brak usterek i błędów rzeczowych: „Bluchnera” zamiast Bluchera (s. 71), „Bellestrem” zamiast Ballestrem (s. 74), autor używa słowa „diakonaty” w znaczeniu dekanaty” (s. 78 i in.), na stronach 80 i 81 mowa jest o wyborach „do wielkopolskiego landtagu”(?) i o „wyborach do śląskiego landtagu” (?), co jest czystym wymysłem, bo takich struktur wówczas w ogóle nie było. Na s.78 pisze się o rozwiązaniu polskich organizacji studenckich, które jakoby powstały „już w roku 1813” (bezmyślne). To tylko przykłady.

Książka Jerczyńskiego skłania do ogólnych refleksji. Sama historia nie jest dla autora celem, dlatego nie ma ona charakteru pracy historycznej. Powołuje się on na historię, ale chodzi mu o ideę, której historia ma służyć. Jeśli nie służy według jego życzeń, poddawana jest stosownym modyfikacjom. W tej sytuacji myśl Cycerona: *Historia magistra vitae, lux veritatis...* ulega radykalnemu odwróceniu: autor poucza historię, a nawet rozkazuje jej, czym być powinna, według jego życzeń, a punkt ciężkości samej pracy zostaje przesunięty na samą koncepcję, czy też ideę, która w książce jest dla jej autora najważniejsza. Praca nie jest jedynym przykładem historiograficznego relatywizmu pozwalającego traktować przeszłość jak zbiorowisko staroci, z którego można wybierać co się chce i dopasowywać do absolutnie dowolnej tezy, czy też idei. A jeśli nawet szczegóły do niej nie pasują, można twierdzić, że pasują. Takiemu traktowaniu dziejów towarzyszy nieodłącznie pisarskie gangsterstwo, swoisty terror w pseudo myśleniu historycznym. Szczególnie polskie dzieje są dziś przedmiotem takich napaści i prostackich uproszczeń i zakłamań. W ten sposób usiłuje się zohydzić polską historię polskie losy historyczne, polską kulturę, duchowość, w konsekwencji zaś polską tożsamość narodową, aby Polaków „przybliżyć” do Europy. Ostatecznie prowadzi to do obrzydzenia Polakom samej Europy.

Sprawa ma inny jeszcze aspekt, moralny. Historyczne doświadczenie zwłaszcza kilku ostatnich pokoleń w Europie i na świecie sprawiają, że niezależnie od historiograficznego terroryzmu, raz po raz pojawia się potrzeba uwzględniania moralnego aspektu w patrzeniu na dzieje. Jest to równie konieczne, jak niebezpieczne, gdyż domaga się respektowania ścisłych i sprawiedliwych kryteriów w ukazywaniu przeszłości. Jestem głęboko przekonany, że niebezpiecznych kłótni w tej dziedzinie dałoby się uniknąć przyjmując Dekalog za podstawę wartości i wartościowania. Tylko wtedy piarstwu historycznemu towarzyszyć może pokora piszących, która zawsze była ideałem w każdym dociekaniu naukowym.